

Paweł Fleszar

Wyśniona jedenastka

Rozdział szósty
czerwiec 2016

I.

Ania przymocowywała taśmą ściągę do pończoch. Siedziała na opuszczonej klapie klozetu, luźną, czarną spódniczkę podwinęła na biodra. Agnieszka stała nad nią, trzymając w pogotowiu jeszcze jeden komplet małych, dwukrotnie złożonych karteczek.

- Chciałabym mieć takie szerokie uda, jak ty, więcej by się zmieściło - powiedziała Anka, z wysuniętym językiem przesuwając taśmy, aby zrobić miejsce na ostatnią.

No i pomóż komuś... Aga zastanowiła się, czy od razu nie pacnąć bezmyślnej małpy w łeb, może w ten sposób trafi tam odrobina taktu i delikatności. Uznała jednak, że na ten tydzień będzie dosyć niesztampowych ćwiczeń fizycznych. Wczoraj pchała tramwaj w niecce Ronda Mogińskiego. Po wizycie na uczelni jechały z Zużą i Sabiną, z którymi miały "spółdzielnię ściągaczkową" do tej pierwszej, na Krowodrzę, aby wyprodukować pomoce naukowe. Ledwie wsiadły do "piątki" i ta ruszyła - zatrzymała się gwałtownie, bo ktoś wbiegł na tory. I nie mogła wystartować znowu. Motorniczy wyszedł z kabiny, tłumacząc, że stanął na "przerywaczu", gdzie z kabla nie ma poboru prądu. "To takie punkty, pomiędzy którymi można odciąć prąd w razie awarii, żeby nie trzeba było wyłączać całej sieci. Teraz poczekamy, aż popchnie nas następny tramwaj, ale akurat jest osiem minut przerwy i nie wiadomo, jak to pójdzie, bo jemu się nigdy nie zdarzyło. Chyba że ludzie kawałek go przeprowadzą". Wyglądał tak bezradnie, a przy tym, z fałdami na policzkach i zmarszczonym czołem, przypominał jej trochę tatę, że wyskoczyła z wagonu jako jedna z pierwszych. Co zmobilizowało wielu facetów, zawstydzonych, że dziewczyna jest bardziej od nich zdecydowana. Po chwili tramwaj już samodzielnie wjeżdżał do tunelu.

Jeszcze raz powtórzyła sobie, w których kieszeniach rozlokowała trzy długopisy. Z dwiema koleżankami, łącznie miały ich dziewięć i znajdowały się na nich wszystkie skomplikowane wzory i suche formuły z rachunkowości zarządczej. Długopisy kupowało się w sklepie internetowym. Wewnątrz nawijało się wstęgi ściąg, które można było odczytywać przez prostokątny wizjer, znajdujący się tam, gdzie normalnie był klips do zaczepiania o okładkę zeszytu, czy kieszonkę koszuli, a przewijało się, kręcąc górną częścią obudowy. Zdały już za ich pomocą jeden egzamin w semestrze zimowym. Usiadły we trójkę w tej samej linii w sąsiednich rzędach, każda była w innej grupie. Dzięki temu mogły podzielić między siebie ściągę, przekazując sobie odpowiednie długopisy; chyłkiem lub całkiem legalnie - pożyczając go koleżance, której akurat się wypisał. To jednak mały pikus przy technologii, którą w służbie zdawania egzaminów zaprzęgała Beata. Pod rozpuszczonymi włosami ukrywała słuchaweczkę do telefonu, a wchodziła do sali już połączona. Agnieszka słyszała pytania podczas dyktowania, szukała odpowiedzi w necie lub podręcznikach. Tamta też była na turystyce, na AGH, więc Aga orientowała się w zagadnieniach. Raz eksperymentowała z okularami z umieszczoną w oprawce minikamerką, dzięki której Agnieszka widziała pytania rozdawane studentom na kartkach. Miała jednak poczucie, że siedząc w domu stresuje się bardziej niż przyjaciółka i bardziej będzie się wstydzić ewentualnej wpadki, mimo że bezpośrednio by jej nie dotknęła. Dlatego sama niechętnie ściągała, dzisiaj miał być drugi raz na większą skalę. Ostatnio nie miała głowy do nauki.

Na dwa pytania odpowiedziała gładko, do trzeciego potrzebny był długopis, który miała Sabina. Ukradkiem pokazała jej na palcach, o jaki jej chodzi. Ta jednak wyciągała go niezgrabnie, upuściła i leżał metr od niej. A wtedy odbiło Sabci kompletnie: wzięła torebkę, zamachnęła się pod ławką i "szaaast!" - przyłożyła tak, że długopis pojechał po podłodze niczym krążek po lodzie. Agnieszka jak hokejowy bramkarz, z ledwością, zatrzymała go stopą, szybko schyliła się i schowała pod udo, a

teraz siedziała sztywno, bo jeden z pilnujących ich asystentów, doktor Bąkowski zaalarmowany hałasami stanął tuż obok.

- Co tu się dzieje? Panie przekazują sobie ściągę? - spytał surowo.

- Nie rozumiem, skąd takie podejrzenia. Koleżance upadł długopis, więc jej podałam - ku swojemu zdziwieniu wydobyła z siebie ton pełen urazy.

Jakie to absurdalne. Tydzień temu uciekała przed zbrojnym mordercą, a dzisiaj powinna się bać nudziarza ubranego i zachowującego się jak własny wujek?

Wtedy wiała tak, że drzwi otwierające się do wewnątrz omal nie otworzyła na zewnątrz, a drogę z bloku stojącego na rogu Piastowskiej i Królewskiej do przystanku przed Uniwersytetem Pedagogicznym przebyła biegiem. Akurat podjeżdżała "czwórka", więc wskoczyła do niej i dopiero po zdziwionych spojrzeniach ludzi w tramwaju zorientowała się, że buty ciągle trzyma w ręce, a stopy ma brudne i poranione. I to chyba dolegliwości nóg sprawiły, że nie wysiadła obok "Białego Domku" i nie poszła na policję. Tak się oszukiwała, ale w prześlaskach szczerości docierało do niej, iż broni się przed zaakceptowaniem faktu, że mężczyzna, z którym była bliżej niż z kimkolwiek, okazał się psychopatą. Zamknęła drzwi mieszkania na wszystkie trzy zamki (dwóch na co dzień nie używała, w tym jednego - nigdy, nawet po kwietniowym napadzie), przysunęła do nich szafkę na buty, wpełzła pod kołdrę i leżała jak sparaliżowana.

Przypomniały się jej pierwsze lata "siatkarskie". Kiedy któraś na obozie naprawdę mocno nawywiąjała (np. samowolnie poszła do miasta, zwłaszcza wieczorem), albo często łamała regulamin - trenerka stosowała wyrafinowaną, wymyśloną przez siebie karę. Przez cały dzień nie można było ruszyć się z łóżka, tylko na króciutkie wizyty w toalecie, nawet jedzenie przynosiły koleżanki na tacy. Dla aktywnych, często pobudliwych dziewczyn, jakie na ogół garnęły się do sportu, przymusowa, dobową beczynność była torturą. Odstraszała od następnych przygód.

Agnieszce jednak odpowiadała obecna pozycja, nie była w stanie wykrzesać z siebie choć iskierecki woli, która pozwoliłaby jej wstać, pójść do kuchni i zrobić sobie coś do picia. Zdołała tylko wyłączyć "I will survive" Glorii Gaynor, które ustawiła sobie z auto replayem i zajechała do szczętu. Kiedy po dwóch godzinach zabrzmiał dzwonek do drzwi i usłyszała za nimi głos Maćka, dygocząc przykryła się z głową. Chwilę stukał, nawoływał coś, czego nie mogła zrozumieć, po czym ucichł. Leżała tak do wieczora, kiedy rozległ się szcęk otwieranych po kolei zamków, a potem uderzeń drzwi o szafkę, dyszenie i przekleństwa Beti. Gdy wyskoczyła z łóżka do przedpokoju, tamta zdołała już sforsować przeszkody.

- Aga, czy ty się upiła?! Twoja komórka w skrzynce na listy, a ty tutaj zabarykadowana? Nigdy czegoś podobnego nie zrobiłaś.

- Sorry, mam słaby dzień. Dostałam jakiejś schizy, że znowu ktoś na mnie czyha. Wszystko przez tamten napad. Telefon chyba zostawiłam w skrzynce, kiedy sprawdzałam, czy nie ma poczty - tłumaczenia bzdurne, ale Beci wystarczyły. Różne rzeczy można było o niej powiedzieć, ale na pewno nie była hipokrytką; innym dawała takie samo prawo do odchyłów, co sobie. Zresztą jej iPhone odnajdywał się w lodówce (raz nawet zamrażarce), kuchence mikrofalowej, chlebaku.

- Wyluzuj, ze mną jesteś bezpieczna. Musisz mi doradzić, kupiłam w Galerii dwie bluzki, ale coraz mniej mi się podobają.

Reszta wieczoru upłynęła na przymierzaniu różowych ciuszków: z głębokim trójkątnym dekoltem, poszerzonym jeszcze o półprzezroczysty fragment materiału oraz z odkrytymi plecami. Becia wyznawała tezę, że różowy to nowy czarny, uwielbiała fatałaszkę budzącą w Agnieszce odruchową

niechęć, i postanowiła zatrzymać obie bluzki. Z zakupów przyniosła też butelkę czerwonego wina. Opowiadała przy niej o kwitnącej znajomości z Marcinem (tak miał na imię swojski Ryan Gosling), któremu najwyraźniej nie przeszkadzała nieprzewidywalność nowej dziewczyny, nawet gdy wygadała się, że na starcie umyślnie spowodowała kolizję. Kiedy przyjaciółka spytała, co tam z Maćkiem, Aga automatycznie odparła, że pokłócili się o wyjazd do jego rodziców, więc parę dni muszą od siebie odpocząć. Słuchając szczerych pocieszeń, a i potem, przed zaśnięciem, zastanawiała się, dlaczego skłamała i dlaczego jeszcze nie zgłosiła się na policję. Z drugiej strony, przecież ten Jesionek twierdził, że jest policjantem i ma dowody winy Macieja. Dlaczego w takim razie dotąd go nie aresztowali, chodzi sobie swobodnie i nawet był tutaj po południu?!

Następnego dnia pogratulowała sobie, że nie zrobiła ze sprawy afery. Beata wstała wcześniej i pozbierała się niezwykle, jak na nią, sprawnie, bo miała rozmowę o pracę, chyba w agencji ogłoszeń. Pół godziny po jej wyjściu rozległ się dzwonek u drzwi, Aga cichutko podeszła do wizjera, w którym zobaczyła faceta przed sześćdziesiątką, dosyć szczupłego, o śniadej cerze, z pokąźną łysiną i wiankiem bardzo ciemnych, choć poprzetykanych siwizną, włosów. Musiał ją usłyszeć, bo powiedział głośno przez drzwi:

- Dzień dobry, nazywam się młodszy inspektor Waldemar Pałeczki, Centralne Biuro Śledcze Policji. Pani Agnieszka Michna? Chciałbym zadać pani kilka pytań w związku z prowadzonym przez nas śledztwem.

Przez głowę przemknęły jej błyskawice: "Aresztowali Maćka!", "Wszystko jasne!", "Muszę powiedzieć o tych apaszkach!". Pospiesznie pootwieriała wszystkie trzy zamki. Nie zastanowiła się nawet, czy człowiek, który wszedł do mieszkania jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, ale on najpierw wyjął legitymację i dał jej do obejrzenia. Na zdjęciu wyglądał młodziej, miał więcej włosów, ale równie ciemną twarz, więc to pewnie cecha wrodzona, a nie opalenizna.

- Możemy gdzieś usiąść?

- Tak, proszę - zaprowadziła go do trzeciego pokoju, którego używały z Becią jako salonu. W przelocie zgarnęła bluzki, które tu wczoraj zostawiły i nieco starsze pokłady ich garderoby. - Mogę zaproponować panu coś do picia?

- Nie, dziękuję. To krótka wizyta. Półoficjalna, proszę nie traktować tego jako przesłuchanie.

Prowadzimy poszukiwania naszego kolegi, Mateusza Jesionka, który nie zgłasza się do pracy od kilku dni...

- Proszę?! - wydusiła Agnieszka. A kiedy policjant dokończył: "Obawiamy się, że odegrał mroczną rolę w sprawie zaginięć kobiet w Krakowie" - wyrwał się jej okrzyk zaskoczenia.

- Mówiąc kolokwialnie, próbował "wrobić" w morderstwa pani znajomego, Macieja Porzyńskiego. Znają się jeszcze ze studiów, bodaj dwadzieścia lat, a kilkanaście lat temu powstał między nimi zatarg, najprawdopodobniej na tle rywalizacji o względy pewnej dziewczyny.

- Ale, ale... Ale wie pan... Znalazłam u Maćka apaszki, które wyglądały, jakby pochodziły od kilku różnych kobiet. W dodatku jedna była ubłocona. Widziałam zdjęcia. To było straszne... - głos jej się załamał.

- Proszę się uspokoić, wiemy o tych apaszkach. Wczoraj zgłosił się do nas Maciej Porzyński, zaniepokojony pani zniknięciem, a przede wszystkim obecnością w jego mieszkaniu tych apaszek, które przyniósł na komendę. Skierowano go do mnie, bo koordynuję śledztwo w sprawie zaginięć kobiet. Sprawę, która została wyolbrzymiona, nawet nie przez media, ale szeptaną propagandę krakowian. Pan Porzyński i pani zostaliście w nią wplątani, a aspirant sztabowy Jesionek wplątał się

sam.

- Powiedział pan, że od kilku dni nie możecie go znaleźć. Ale ja z nim rozmawiałam wczoraj na fejsie. To znaczy na facebook'u.

- Ciekawe. To by znaczyło, że żyje. Mógł jednak napisać do pani z dowolnego miejsca. My, niestety, nie mamy z nim żadnego kontaktu. Od kilku dni nie przychodzi do pracy, nie ma go w miejscu zamieszkania. Pan Porzyński twierdzi, że był przez niego obserwowany, że spotykaliście go w różnych punktach miasta. Może pani to potwierdzić?

- Tak, to prawda. W knajpie, w tramwaju, raz chyba na ulicy. Wtedy nie wiedziałam, kto to jest, Maciek też mi nie powiedział. Rozpoznałam go po zdjęciu na FB.

- Wysłał też panu Porzyńskiemu dwa zdjęcia mężczyzny w kurtce deszczowej, pochylającego się nad leżącą nad Wisłą kobietą z opisem: "Wiem, co zrobiłeś".

- Widziałam te zdjęcia! Maciek ma podobną kurtkę.

- Ale to nie on. Ta kobieta też nie przypomina żadnej z zaginionych. To jakieś zdjęcia ściągnięte z internetu. Wie pani, już jakieś dziesięć lat temu aspirant Jesionek zaczął wykazywać pewne, mówiąc oględnie, odchylenia od normy. Nie było to wtedy nic przesadnie groźnego; nie na tyle, aby go zwalniać, czy wysłać na rentę. Został przesunięty z pracy operacyjnej do biura. Niestety, odtąd nie był już tak często monitorowany, a może po prostu w takich warunkach jego problemy psychiczne rozwijały się dyskretniej. Niestety, dzisiaj zbieramy tego owoce. Przebadaliśmy apaszki, które przyniósł do nas pan Porzyński - zawierają DNA Jesionka.

- To znaczy, że to on mordował te kobiety?!

- Nie. Na apaszkach nie ma śladów DNA żadnej z martwych kobiet znalezionych w Krakowie.

Powiązanie wszystkich tych wypadków jest zresztą rażącym nadużyciem mediów. Nie mogę zdradzać tajemnic śledztwa, ale tylko pomiędzy dwiema można istnieją cechy wspólne. Tych przypadków jest zresztą mało, dwa pochodzą przecież z odległej przeszłości. Ostatni prawdopodobnie jest fałszywym alarmem, dostaliśmy sygnały, że Magdalena Piotrowska uciekła z domu i wyjechała do Hiszpanii z poznanym w Krakowie obywatelem tego kraju. Sprawdzamy tę informację.

- Moja koleżanka poznała na dyskotecce policjanta, który ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem.

- Cóż mogę powiedzieć? Kiedy byłem młodszy, mówiłem dziewczynom na dyskotekach, że jestem pilotem odrzutowca i miałem na podorędziu parę mrozących krew w żyłach historii o przygodach podczas latania. Metody się zmieniają, cele pozostają te same... Moim obecnym problemem nie jest jednak policjant opowiadający farmazony, aby poderwać ładną pannę, ale policjant, który zapadł się pod ziemię. Wczoraj wieczorem sprawdziliśmy mieszkanie Jesionka, przepytaliśmy sąsiadów. Okazało się, że nie widziano go tam od dwóch dni. Gdyby skontaktował się z panią lub gdyby pani go gdzieś zobaczyła, bardzo proszę o natychmiastowy sygnał.

Zostawił jej wizytówkę, dwa dni później w "Kurierze" ukazał się komunikat o poszukiwaniach zaginionego policjanta z tym samym zdjęciem, które Jesionek miał na fejsie. Podano znacznie mniej informacji, niż usłyszała od Pałeckiego. Wydawało się, że tamten gdzieś uciekł i zaciera ślady, bo usunął swój profil z FB. O tamtej pory nie spotkała się też z Maćkiem. Nie odbierała jego telefonów, na sms-y i wiadomości na fejsie odpisała tylko raz: "Daj mi czas, muszę przemyśleć naszą dalszą znajomość". Do dzisiaj starała się jednak nie zastanawiać nad tym. Może dlatego, żeby nie dopuścić myśli, że zbyt pochopnie uwierzyła w jego winę? Ale kto by w to nie uwierzył w tamtych okolicznościach!?

- Straszą skalą trudności naszego egzaminu, a okazuje się, że może być wręcz usypiający. Pani zapadła mi w długotrwały letarg pod samym nosem - Bąkowski zarechotał bardzo z siebie zadowolony, tym bardziej że na jego "suchara" z różnych stron sali odpowiedziały śmiechy. Co ostatecznie wyszło na dobre czerwonej ze wstydu Agnieszce, bo przestał traktować ją jak podejrzaną i poszurał wężyc gdzie indziej. Wydobyła więc długopis spod uda i zdążyła odpowiedzieć także na trzecie pytanie. Tylko siniak został jej na dłużej.

II.

Agnieszka siedziała na parapecie, jedząc sałatkę warzywną z plastikowego pojemniczka. Za plecami miała otwarte okno i deszcz szumiący w koronach drzew kilkanaście metrów poniżej dziewiątego piętra. Beata uwijała się między gośćmi w jednym z niedawnych różowych zakupów - tym wciętym z przodu. Miseczki z chipsami i orzeszkami rozstawiała wprost na podłodze (większość siedziała właśnie na niej, bo pokój był oszczędnie umeblowany: ława i dwa foteliki, za pomocą których podjęła kilka dni temu policjanta z CBS). Każdy przyniósł swój browar. Chyba coś popsuło się w pomiędzy nią a szczęśliwym kierowcą uszkodzonego auta. Co dziwne, nie zwierzyła się. Kiedy dzwoniła komórka, zerkała na numer i chowała ją z powrotem. Nigdy nie odbierała za pierwszym razem telefonu od faceta, determinację niektórych sprawdzała nawet do trzeciej próby, ale tutaj wyraźnie kogoś ignorowała.

Aga, widząc to, namówiła ją wczoraj na plenerowy melanż. Siedzieli przy bulwarach, wśród potężnych, betonowych podstaw słupów wysokiego napięcia, pomiędzy towarowym mostem kolejowym a Mostem Kotlarskim, bo tam była większa szansa uniknięcia zainteresowania gliniarzy. Kiedy jednak zerwała się letnia ulewa, zaprosiły wszystkich do siebie na Dąbie. Dopiero niedawno przestali dyszeć i chichotać po blisko dwukilometrowym truchcie.

- Niektóre pytania były niczym z samego dna piekieł - dla niej była to impreza posesyjna, ale dla innych ciągle "śród-". Nawet nie znała dobrze wszystkich obecnych, studiowali na różnych uczelniach.

- Psora Klekowskiego zawsze będę miło wspominał - chłopak z politologii na UJ, którego przyprowadziła chyba Zuza, opowiadał o byłym wojewodzie, kiepsko ocenianym w tej roli. - Egzamin mało opresyjny, staroświecka galanteria. Na koniec dziewczyny całował w dłoń, a mężczyznom fundował pięć palców. Nawijam spocony i nagle widzę jego grabę przed nosem. Gdy go prosiliśmy, przesunął egzamin na "po sesji" i daty nie wpisywał do indeksu, żeby nie było nieprzyjemności w dziekanacie. No i ma poczucie humoru. Kiedyś prowadził bardziej otwarty wykład, wciągał nas do rozmowy, ale mało kto chwycił zagadnienie. W pewnym momencie, zde gustowany naszą niewiedzą, spytał, czy mamy maturę, a z sali padła odpowiedź: "Tak, na amnestii". Śmiał się razem ze wszystkimi.

Niedaleko jej nóg warował Fazi. Im bardziej demonstracyjnie go ignorowała, tym częściej przybierał pozy giermka królowej. Bo paziem raczej nie dało się go nazwać.

- Słuchajcie, jaki sztos! Było u nas włamanie w Macu! - zmonopolizował uwagę paru osób, Aga też nadstawiła uszu. Pracował w restauracji przy Szewskiej, zajmowanej niegdyś przez "Cafe Eldorado". - Huknęło, włączył się alarm przeciwpożarowy. Kierownik zmiany zaczął świrować, że to zamach terrorystyczny, ale ludzie jak są ciekawi, to się niczego nie boją. Wszyscy się zlecieli do piwnicy, skąd walił dym. Zaraz zjawily się smerfy z posterunku przy Rynku, potem straż pożarna, wygonili wszystkich. Nic wielkiego się nie stało. Zawalił się kawał ściany w męskim kiblu, wyszła dziura do sąsiedniego pomieszczenia, spaliły się jakieś ścianki działowe.

- A ci terroryści?

- Wegetariański patrol sprawiedliwości, walczący z mordercami krów? Nie było żadnych terrorystów. Wygląda, że jacyś gówniarze zrobili to dla kawału. Policja przesłuchiwała ludzi. Niczego nie odkryli, sobota w nocy, więc wszyscy potencjalni świadkowie na fазie. Mnie nie pytali, bo uznali, że skoro w kuchni siedzę, to nic nie mogłem zobaczyć. Otaśmowali tylko wychodek i zamknęli dolną salę, do której przechodzi się obok niego. Ale nie powiem, dotknęło mnie to zdarzenie, bo mam związki sentymentalno-rodzinne z lokalem. Mój osobisty tatuś pracował tu jako księgowy w "Cafe Eldorado". Żeby się zrelaksować nawet wtuliłem na przerwie burgera z Pulp Fiction.

- Ćwierćfunca z serem?

- Niom.

- Tłuste kotlety to też moja alejka, ale mam niedaleko od Mogiły coś lepszego: ćwierćkilowego z serem - wyprostował się Paweł, kumpel Faziego jeszcze z liceum, trochę starszy, już po studiach. Póki się nie upili, ich przyjaźń objawiała się nieustanną kontrą do słów drugiego. - W zapadłym kącie pomiędzy cmentarzem, placem targowym, stacją benzynową i całodobowym monopolowym jest mała budka z plastikowych płyt, obok niej grill. Za piętnaście zeta dostajesz 25 deko świeżo usmażonego mięsa, trzy plasterki sera, pieczarki, pomidory i takie tam. Kobieta grilluje wszystko, nawet wielką bułę, do której to wsadza. Najlepsze hamburgery w Krakku, nie to, co ta twoja konfekcja.

- W Krakku? Kraków kończy się tu niedaleko, za blokiem Agnieszki. Myślisz, że ktoś pojedzie do innego miasta, żeby zjeść burgera? A do Huty to już w ogóle trzeba mieć ważny paszport - tego dowcipu jeszcze w ustach Bartka nie słyszała. Byli z Pawłem nieodłącznymi kompanami na wszelkich imprezach, z których część odbywała się właśnie na liczących ponad sześćdziesiąt lat wschodnich osiedlach, wyglądających jak warowne twierdze. Sama była z nimi na kilku.

- Rozumiem, chłopcy, że nie tęsknicie już za schabowym. A pamiętacie jeszcze jego smak?

- Schabowe są passe. Przecież nawet ty, Aga, jesz głównie ryby i warzywa. A propos - jakie zdarzenie miałem niedawno. Byłem w zaprzyjaźnionym kebabie na placu Kossaka, a dziewczyna przede mną kupiła dużą sztukę w cieście, wołowo-baranią, ze średnio ostrym sosem. Rozumiecie, niedługo przed północą. To mogła być moja dziewczyna marzeń. Niestety, odeszła jedząc.

- Wyczułam, żadna z ciebie konkurencja dla kebaba - wyjadliwiła się Aga w ramach zemsty za to "a propos". Żałowała, że brakło jej refleksu i przepadła okazja, aby podpytać od niechcienia, czy Fazi wie coś więcej o "Eldorado".

- Co najgorsze, zlikwidowali też tę budkę, a był tam taki Arab, który zawsze pytał "jak się masz?", mięsa nakładał hojnie, a do tego jeszcze oliwki, kukurydzę i paprykę, które normalnie nie przysługują.

Nie usłyszała dzwonka, ale zauważyła, że Beti wychodzi.

- Masz gościa, Aga - zaanonsowała, wprowadzając do pokoju Maćka

Właściwie nie wiedziała, jakie uczucia w niej górują: radość, że go widzi, irytacja, że robi takie przedstawienie, satysfakcja, że zależy mu na niej na tyle, żeby to przedstawienie zrobić, lęk, o pierwszą rozmowę po tym, jak podejrzewała go o mordowanie kobiet. Z różnych pomysłów na reakcję wybrała najprostszą: nie ruszyła się z parapetu, pomachała mu dłonią, powiedziała: "fajnie, że się pojawiłeś" i wskazała miejsce na podłodze. Uznała, że jednak gniewa się na niego; przecież ukrył przed nią znajomość z Jesionkiem. Dotąd unikała zabierania go w towarzystwo jej

rówieśników, mieszanie diametralnie odmiennych światów mogło skończyć się katastrofą. Ciekawe, jak się dogada z chłopakami. Zwłaszcza że Bartek - z oczywistych przyczyn - już się na niego zjeżył. Powodzenia, Maciuś - pomyślała złośliwie.

- Siemaneczko, ziom, co u ciebie? Kojarzysz mnie jeszcze? - ku jej zdumieniu Paweł aż wstał, żeby przywitać się z nowo przybyłym.

- Jasne, że pamiętam: robiłeś zdjęcia na portal kibicowski - odparł Maciek, a tamten wyraźnie się ucieszył. - Opuściłeś temat w pewnym momencie, ale nie jestem pewien, czy na stałe, czy czasowo, bo i mnie odwołali z Wisły w 2012 roku.

- Gdzie się obracasz teraz; ciągle w mediach krakowskich?

- Tak, choć ostatnio raczej kręcę się w kółko.

- Szkoda, super artykuły pisałeś - tamten zachowywał się, jakby spotkał dawną gwiazdę. - A ja to wiesz, amatorka, hobby. Studiowałem budownictwo na Politechnice, latem 2011 miałem już regularne praktyki inżynierskie. Rozrywkowo pojechałem do Nikozji, bo była szansa na akredytację. No i stoję za bramką APOEL-u, Wilk strzela na 2:1 i Wisła jest w Lidze Mistrzów. Pomyślałem: "Rzucam budowlankę, będę fotografem; to jest prawdziwe życie, temu warto się poświęcić". Ale parę minut przed końcem Ailton wcisnął trzeciego gola, nasi odpadli, a ja doszedłem do wniosku, że trzeba się zająć czymś z perspektywami.

Powszechny śmiech przełamał ostatnie lody. Maciek bez trudu przykuł ich uwagę.

- Najbardziej pokręcone derby to te z kwietnia 2005 roku. Na boisku nastolatki ze szkoły muzycznej; dziewczynki w białych bluzeczkach z żabotami, chłopcy - czarne aksamitki pod szyją. Skrzypce, flety, wykonują pieśń "O Fortuna" z "Carminy Burany" Carla Orffa. Podniosła muzyka, od trybuny głównej wałęsa kłęby tłustego, śmierdzącego dymu ze skrojonych wiślaków szalików, które podpalili przed momentem kibole Craxy. Na prawym skrzydle wznosi się i opada rząd białych pałek, jak szable kawaleryjskie - policja pacyfikuje kiboli Wisły wyrywających się ze swojego sektora na odsiecz tym szalikom. To wszystko niespełna miesiąc po "Pojednaniu dla Papieża"... A podczas poprzedniego meczu spiker udusił gołębia.

- Petarda!

- Wypuszczali kilka gołębi, symbolicznie. Podrzucił swojego, a ten spadł jak kamień. "Lekko go tylko ścisnąłem, a on w powietrzu nawet skrzydłami nie ruszył" - prawie płakał ten Grzesiek. Bardzo był sympatyczny, ale kompletnie nie miał czucia w łapach.

- Zaczynałem już wtedy w wislafootball.pl, ale byłem jeszcze młodym kotem i nie dostałem akredytacji na derby - Paweł szukał czegoś w smartfonie. - Za to rok później już pojeździłem i tu jest moje ulubione ujęcie.

Podał aparat Agnieszce. Fragment trybuny, niższe piętro puste, wyżej gęszcz kibiców, rozwieszony transparent z niezrozumiałym niemieckim napisem: "Wenn wir im Jahre 1683 nicht da wären, würden wir jetzt gegen Galatasaray spielen". Oddała telefon właścicielowi, Maciek zerknął mu przez ramię, uśmiechnął się.

- W 2006 roku Wisła grała z Mattersburgiem w eliminacjach Pucharu UEFA, mecz musiał odbyć się w Wiedniu, bo tamci nie mieli odpowiedniego stadionu - zwracał się wprost do niej. - Austriacy bali się kibiców, bo to było po jakichś występach legionistów. Były postulaty, żeby w ogóle nie wpuszczać widzów z Krakowa, ale nie mieli podstaw. Na konferencji prasowej dzień przed meczem miejscowy dziennikarz z przejęciem pytał nas, ilu chuliganów przyjedzie i czy będą bardzo agresywnie nastawieni. A ci przyjechali i wywiesili transparent: "Gdyby nie było nas tutaj w 1683 roku, gralibyśmy teraz z Galatasaray".

Parsknęła tak jak wszyscy, ale po chwili zaczęła się zastanawiać, jak powinna rozwiązać sprawę z Maciejem, kiedy nadejdzie nieuchronna konfrontacja. Docierały do niej fragmenty jego opowieści, gdy przełączała się na odbiór.

...Przychodził taki grubas, cztery razy szerszy ode mnie. "Osiedlowy" go nazywali. Dla kontrastu miał adiutanta, czy ochroniarza - wysokiego, chudego, wyżyłowanego. Jadł obiad w klubowej kawiarence, potem szedł na górę do biura i dostawał odsyp biletów. Za to jego ludzie pilnowali porządku na stadionie. W Jaworznie był na meczu pucharowym w delegacji klubowej, bo miał wstęp do budynku głównego, gdzie wpuszczali tylko działacze i dziennikarze. Potem zniknął, podobno ktoś go zdetronizował pięścią. Po roku w "Info" znalazłem jego zdjęcie wśród kilkunastu innych ze zlikwidowanego gangu. "Oskarżony o przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej i produkcję bomb domowym sposobem".

- Półtora gościa.

- Po drugiej stronie było podobnie. Tam zresztą kibole pomagali ratować klub na początku XXI wieku i przez parę lat funkcjonowali w nim na oficjalnych stanowiskach. Jednym z dyrektorów był "Gwóźdź", który miał słaby wzrok, bo dużo książek czytał, a raz podczas zadymy rzucił koszem na śmieci w swoich. Potem w takich sytuacjach dawali mu asystenta, bo okulary musiał ściągać. Inny, co gościowi z Wisły kazał pływać w kałuży, miał dwa fakultety, na UJ i Akademii Ekonomicznej, prowadził własną firmę. Ale jak zawarli rozejm przed pierwszymi derbami po powrocie Cracovii do ekstraklasy, kiedy wszyscy się bali, co się wydarzy, to był spokój na trybunach i w mieście. Czasem trudno było się zorientować, co i gdzie się kończy, a gdzie zaczyna. Przecież największe zakapiory z Jude Gangu, zanim wstąpiły do szeregów, trenowały w Wiśle piłkę, kosza, no i oczywiście boks.

...Wysłali mnie do Starachowic na zgrupowanie reprezentacji. 20 kilometrów od celu, w lesie, na podjeździe, maluch zdechł. Na szczęście, niedaleko była szkoła, bardzo miła sekretarka poleciła mi warsztat, dała numer. Facet przyjechał i przyholował. Rozebrali silnik i okazało się, że urwało wał korbowy - stal grubości przedramienia była złamana jak zapałka. Miałem napisać tekst i tego samego dnia wracać, a ci se rozmawiają, czy opłaca się naprawiać, czy lepiej wymienić silnik, którego i tak trzeba poszukać gdzieś na szrocie. Przychodzi jakiś młody chłopak, pracujący w warsztacie i mówi, że może odkupić auto za cztery stówki. Za frytki. Ja coraz bardziej roztrzęsiony, a czas płynie. Zadzwoiłem do redakcji, opowiadam co się stało, że muszę tu siedzieć, aż coś się postanowi. Mocny, który odebrał telefon podał słuchawkę Bączyńskiemu, który wtedy był szefem oddziału. "Panie Porzyński, pojechał pan tam, żeby przygotować reportaż o zgrupowaniu reprezentacji. I to ma pan wykonać! Samochód jest sprawą drugorzędną" - on zawsze miał głos o barwie adekwatnej do tej treści, nawet jeśli zdarzało mu się powiedzieć coś sympatyczniejszego.

- I co zrobiłeś? - Paweł chyba jednak do końca nie wyzbył się swoich marzeń dziennikarskich.

- Zostawiłem samochód, mieliśmy się zdzwonić, kiedy znajdą jakiś silnik na wymianę, albo zdecydują o wymianie wału i plantowaniu czegoś tam, chyba głowicy. Pojechałem do hotelu, w którym mieszkała kadra, wynająłem pokój i ruszyłem na łowy. Przed wieczorem zapisałem półtorej strony.

- Dzielny jesteś.

- Bo ja wiem? Tak mnie wytresowali już wcześniej. Nieważne, czy jesteś pijany, czy na kacu, zmęczony, niewyspany, głodny, czy przeżyłeś akurat zawód miłosny, czy zwyczajnie coś cię boli - tekst ma być na wyznaczoną godzinę.

- Tego Bączyńskiego musiałeś za to kochać?

- Znienawidziłem go już w poprzednim roku. Był spadochroniarzem z Wawy, miał jebła na swoim

punkcie. Jakoś załatwił sobie miano "redaktora naczelnego Rekordu", mimo że to była wtedy winieta na część południowej Polski i dwie strony trzykrotnie mutowane. Przybierał poży jakich byś nie wymyślił, opisując postać zakompleksionego knypka upojonego władzą: "skończyłem panowanie, zaczynam rządzenie", "jeśli będzie trzeba, to z szefa zostanę likwidatorem tej redakcji, bo do tej roli też jestem przygotowany". Zaraz po Wielkanocy, we wtorek, zwołał zebranie. A w Wielki Poniedziałek każdy musiał zostawić rodziny i stawić się do roboty, bo tego dnia zawsze jest jej mnóstwo. Ja zaraz po obiedzie z rodzicami pojechałem z Mszany do Krakowa. To jedna z takich sytuacji, kiedy dotkliwie odczuwasz, jak dużo poświęcasz tej pracy. A ten zaczyna zebranie od butnego: "wasze losy się ważą, od zaangażowania w najbliższych tygodniach zależy, czy przetrwacie".

- I przetrwaliście?

- Jako oddział jeszcze dwa lata. Jego zwolnili trochę wcześniej. A ja wytrzymałem do kolejnego przełomu, jesienią 2007. Na szczęście udało mi się przesiąść na szalupę ratunkową pod nazwą "Echo"...

- Sorki, że ci przeszkadzam - nadeszła Becia. - Przestało padać i wymyśliliśmy, że przespacerujemy się bulwarami na Kazka, wstąpimy na zapiekisy, a potem pójdziemy oblukać tę nową dyskę niedaleko Skalki. Co wy na to?

- Program bez zarzutu, ale ja muszę coś obgadać z Maćkiem, więc pewnie poześlujemy nocnym tramwajem w stronę Rynku - rzuciła Aga spontanicznie. Dopiero teraz postanowiła, jak to rozegrać.

III.

Jako pierwszy na przystanek przy pętli na Dąbiu podjechał tramwaj do zajezdni w Łagiewnikach, a Agnieszka pociągnęła Maćka do środka. Nie odzywali się idąc wzdłuż ulicy Widok, teraz też siedzieli w milczeniu naprzeciwko siebie. On znowu wstukiwiał coś w komórkę, którą po raz pierwszy wyjął już w windzie. Ona obserwowała chudego chłopaka w czapeczce bejsbolowej, z papierosem w zębach, sprzątającego przystanek przy Hali Targowej takim śmiesznym odkurzaczem, który zamiast ciągnąć - dmuchał, posyłając śmieci na jezdnię.

- Słuchaj, Maciek, przepraszam - zebrała się na odwagę. Podniósł głowę, twarz wyrażała chyba nadzieję. - Zgłupiałam, wszystko działo się tak szybko. Już nawet mniejsza o to, że w pierwszym momencie uciekłam. Chyba każdy by tak zrobił. Ale nie mogę sobie wybaczyć, że tak łatwo uwierzyłam w twoją winę. A jeszcze godzinę wcześniej wydawałeś mi się najważniejszy na świecie. - W zdenerwowaniu nie potrafiła wznieść się ponad frazesy.

- Co mam ci powiedzieć? Sam nie wiem, jakbym się zachował w takiej sytuacji. Choć oczywiście łatwiej sobie wyobrazić mnie jako mordercę kobiet. Jestem samotnym facetem pod czterdziestkę. Kiedy po wizycie na policji zrozumiałem, co się stało, byłem na ciebie zły, ale szybko mi przeszło. Jestem tego samego zdania, co ty przed rozmową z Jesionkiem.

Uśmiechnęła się, wzięła go za rękę. Tramwaj wjeżdżał na przystanek przed skrzyżowaniem Dietla ze Stradomiem.

- Mam pomysł - odezwał się znowu. - Nie idźmy do Rynku, tam tylko tłok. Wsiądziemy przy Makkabi i poszwendamy się górą tego bulwaru od Mostu Grunwaldzkiego do Piłsudskiego.

- Przy Makkabi?

- Obecny stadion Nadwiślana należał w międzywojniu do żydowskiego klubu piłkarskiego, związanego z syjonistami. A ich mecz ze związaną z lewicą Jutrzenką były pierwszą krakowską Świętą Wojną, zanim zaczęto tak nazywać rywalizację Wisły i Cracovii. W tym sezonie, przy okazji

derbów skrobałem coś o tym do nas na stronę i nazewnictwo mi zostało. Makkabi oryginalnie brzmi.

Nie należało się spodziewać, że dramatyczne wydarzenia zmieniają skłonność Maćka do wygłaszania mini-wykładów z historii piłki nożnej.

- OK. Chodźmy na ten bulwar; nie wiesz pewnie, ale to moja ulubiona trasa spacerowa.
- Dla mnie może nie ulubiona, ale mieści się w czołówce.

Za Skalką przecięła im drogę kobieta, ciągnięta przez niedużego pieska z migającą obrozą. Gdy po chwili znalazł się opodal rzeki, gdzie panowała ciemność, wyglądało jakby światełko płynęło dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Na górze blask z dwuskrzydłowych latarni rozpraszał się w szerokich koronach drzew. Na końcu alejki są dwa chyba chore, które w ubiegłym roku już w sierpniu straciły większość liści.

- Dzisiaj trochę spokojniej, co? - zaśmiała się Agnieszka, kołysząc ich połączonymi dłońmi.
- Nie wiadomo, co wyskoczy zza zakrętu. Ale, ale, oglądałem niedawno "Uwikłanie" i pani prokurator w osobie Mai Ostaszewskiej właśnie tutaj zjechała samochodem na bulwar, zaparkowała i poszła na statek-restaurację.
- Nie widziałam tego. Jaki statek?
- Przeparkowali w to miejsce jeden z tych statków spod Wawelu. Nie chcę spoilerować, bo może jeszcze obejrzysz film, ale chodziło o to, żeby znalazł się naprzeciw hotelu "Forum".
- Czyli dobrze, że go nie rozebrali?
- Nie tylko dla filmu. "Forum", "Cracovia" i "Szkieletor" to trzy najlepsze słupy ogłoszeniowe w mieście; właściciele zgarniają miliony na tych bannerach. A jeśli przy kasie jesteśmy, to miasto Kraków dofinansowało produkcję filmu, więc akcja została przeniesiona tutaj z Olsztyna.
- Czad!
- Tak, a przy okazji prokuratorowi Szackiemu z powieści Miłoszewskiego nieoperacyjnie zmienili płeć.

Przecięli Plac Wolnica, mijając fontannę i wierzbę płaczącą. W filmowym podwórzu między Józefa a Meiselsa, pod balkonem, z którego aniołek strzelał z łuku, jakiś facet zahaczył go barkiem i odszedł nawet nie mruknąwszy przeprosin. Maciek obejrzał się za nim w popłochu, zdjął jej rękę z biodra i pociągnął do szybszego marszu.

- Aga! To był chyba ten gość, który nas ścigał w kwietniu, ten Fernando Rojas! Napatrzyłem się tyle na jego zdjęcie, które wysłał mi Władek, to z paszportu, że od razu takie wąsy budzą u mnie sygnał alarmowy.
- Ale jak? Przecież miał ci dać znać, gdyby znowu przyjechali.
- A wiadomo, jaką drogą tu przyjechali? Nie jestem pewien, czy to on, ale lepiej się stąd ewakuujmy.

Plac Nowy i kolejne uliczki pokonali bardziej dynamicznie, niż Korzeniowski ateńską trasę, idąc po ostatnie złoto olimpijskie. Gdy wśród zapachu tych pysznych zwijanych ciastek, pieczonych na poczekaniu schodzili w Ciemną, Agnieszka obejrzała się i zobaczyła Rojasa wyłaniającego się zza synagogi. Jeszcze bardziej przyspieszyli kroku, mijając żydowskie hoteliki. Z lewej strony zbliżał się truchtem ciemny facet w skórzanej kurtce. Następny, prawdziwy bysior, wychodził pomiędzy ścian ulicy Lewkowej.

- Biegiem! - Maciek pchnął ją przed siebie. Rzucili się w kierunku pustego już ogródka "Wodopoju hipopotamów". Przypomniała sobie, że knajpa ma dwa wyjścia - tutaj i na Szeroką. Dopadł

pierwszy drzwi, a otwierając wykrzyczał do niej krótkie komendy:

- Będziesz zasłonięta mną! Skręć w lewo do kibla i tam się ukryj! Ja ściągnę ich za sobą!

Po kilku susach skoczyła w lewo, zamknęła się w kabinie. Ucichł tupot stóp Maćka i pogoni.

Ciśnienie chyba spadło jej poniżej 200. Co robić? Dzwonić na policję? Wizytówkę od Pałeckiego wrzuciła między szpargały do szuflady. Przecież tutaj zaraz jest ten komisariat, na którym meldował się Więckiewicz w "Vincim"! I to prawdziwy. Przekręciła zamek i wychyliła się czując, że serce znowu przyspiesza. Dłoń z kłębem intensywnie pachnącego materiału przykryła jej twarz. Nabrała tchu do krzyku, wciągnęła ten aromat, zakręciło jej się w głowie i straciła przytomność.

Ocknęła się. W głowie jej szumiało, nic nie widziała, miała kłopoty z oddychaniem. Ból wykręconych za plecy, związanych rąk zwiększał się przy każdym podskoku. Znajdowała się chyba w jadącym samochodzie, a na głowę założyli jej czarny worek, związany pod szyją. Ale trudno jej było zaczerpnąć powietrza głównie ze strachu. Usłyszała niewyraźne: "Szysko fposzątku, Agus?" i poczuła palce zaplatające się z jej palcami. Maciek.

- W miarę nieźle. A co z tobą? Gdzie nas wiozą?

Ona siebie, wewnątrz worka, słyszała dobrze, ale z zewnątrz dobiegały słabo zrozumiałe słowa:

- Tah, tam ...den szekał, falnął - fpszuh. Nie puj sie.

W tym momencie samochód zatrzymał się gwałtownie, oni rozłożyli się na podłodze, na której siedzieli. Drzwi się otwały, zobaczyła jaśniejszy krążek, pewnie latarki.

- Salid del coche! - warknął jakiś gburowaty głos. Ktoś złapał ją za ramię i pociągnął. Poczuła, że wylatuje z samochodu, więc odruchowo przyjęła pozycję, jak przy opadaniu po ataku i wylądowała na palcach i ugiętych nogach. Maciek nie miał siatkarskich nawyków: słyszała, jak wywlekają go z samochodu, wywraca się, krzyczy z bólu. Prowadzili ich przez jakieś drzwi, schodami w dół. Wreszcie chyba kolejne drzwi, otwierające się z przejmującym piskiem nieoliwionych zawiasów. Śmierdzący tytoniem facet zdarł z niej worek, ale grubymi, silnymi paluchami trzymał ją za kark, tak że nie mogła się obrócić i go zobaczyć. Kliknięcie nożyczek, czy sekatora przecinającego plastikowy przewód, który krępował jej ręce i mocne pchnięcie, po którym poleciała do przodu i teraz już musiała asekurować się dłońmi. Obok niej ciężko upadł Maciek, a z tyłu zatraskiwały się drzwi.

IV.

Nie wiedziała, jak długo ich tutaj trzymają. Po kilku godzinach lekko się przejaśniło - okienko tuż poniżej stropu było czymś przesłonięte od zewnątrz. Drzwi miały u dołu klapę, przez którą raz włożyli im dwie menażki z czymś, co mogłoby uchodzić za paellę z warzywami, gdyby nie było rozgotowane, a potem zaschnięte. Kiedy znowu zmierzchało, dostali po prostu postne, choć świeże bułki. Do tego kilka półtoralitrowych butli mineralnej. Kłapa była czymś blokowana z tamtej strony, bo gdy Maciej próbował ją podnieść, ani drgnęła. Tak samo z oknem.

Chyba znowu zapadła noc, nad drzwiami świeciła się jedna słaba żarówka. Komórki zabrali im jeszcze w samochodzie. Nikt na razie nie będzie ich szukał. Maciek mieszkał sam, w redakcji wziął trzy dni urlopu. Bacia nie będzie się niepokoić; uzna, że Aga nocuje u niego. Do rodziców dzwoniła dopiero co, żeby opowiedzieć, jak jej poszły egzaminy. Na Kazimierzu zdarzały się mocniejsze historie z pijanymi w rolach głównych, więc raczej nikt nie przejął się gonitwami, czy wyprowadzaniem jej z knajpy.

Wyobracali swoją sytuację na wszystkie strony, ale nie doszli do żadnego wniosku. Trudno znaleźć powody uwięzienia, skoro prześladowcy nie stawiają żadnych żądań.

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że aż trzasnęły o ścianę. Do pomieszczenia wpadło dwóch ludzi w kominiarkach, brutalnie poderwali siedzącego Maćka z podłogi. Agnieszka doskoczyła do nich, ale od razu poleciała do tyłu pchnięta w twarz dłonią w rękawiczce.

Podciągnęła kolana do piersi i objęła je ramionami. Jeszcze nigdy w życiu nie bała się tak bardzo.

Czas był płynny. Nie wiedziała, czy do następnego jęku drzwi minęło trzydzieści minut czy trzy godziny. Otworzyły się, wstała, tamci ludzie wrzucili Maćka, który wylądował przy jej nogach. Po tym, jak drzwi zostały ponownie zatrzaśnięte, u sufitu rozbłysło mocne światło.

Podniósł głowę, ciągle na czworakach. Krzyknęła. Prawe oko miał opuchnięte, przymknięte, drugie zalewała krew spływająca z czoła. Na miejscach nie przysłoniętych krwią widać było otarcia i zadrapania.

- O Boże, co oni ci zrobili! - klęczała przy nim, obejmowała delikatnie za szyję. Pomogła mu się obrócić i usiąść przy ścianie, ale gdy oparł się o nią, syknął i przechylił gwałtownie do przodu. Podniosła mu koszulę, jego plecy pokryte nabiegłymi krwią, symetrycznie rozmieszczonymi pręgami wyglądały jak biały t-shirt w poziome, czerwone paski. Zaczęła szlochać.

- Nie płacz, Agus. Nic strasznego się nie stało. - I jeszcze to on ją pociesza. Muszę wziąć się w garść, pomyślała. Przeszukała kieszenie, znalazła chusteczki higieniczne, jedną miał w spodniach Maciek. Zmywała "mineralką" krew z policzka, z czoła, gdzie pokazało się dziesięciocentymetrowe rozcięcie. Przycisnęła do niego chusteczkę i przytrzymała. Może krwawienie ustanie. Ostrożnie powycierała całą twarz.

- Przesłuchiwali mnie, ale w idiotyczny sposób, bo zadawali pytania po hiszpańsku, a ja nic nie rozumiałem - usta miał na szczęście całe, zęby nienaruszone, ale głos zduszony.

- Po brzuchu cię bili, że tak dziwnie mówisz?

- Nie, po brzuchu nie. A mówię tak, bo jestem przygięty do przodu i mam uciśniętą przeponę. Ogarnięta nagłym impulsem podbiegła do drzwi i waląc w nie pięściami wywrzaskiwała po hiszpańsku:

- Wy skurwysyny! Skurwysyny!! Chcecie rozmawiać, to rozmawiajcie ze mną. Przynajmniej zrozumieć, o co wam chodzi! - Znowu wybuchnęła płaczem, osunęła się na ziemię.

- Silencio, puta! - rozległo się zza drzwi.

Zaczęła się uspokajać, gdy Maciek objął ją od tyłu i przytulił.

V.

Usnęli w tej pozycji, obudził ich klekot kłapy i stukot menażek z kolejną paciają, tym razem makaronem. Nawet go nie ruszyli, wypili tylko resztę wody.

Nagle drzwi się otworzyły. Siedzieli tuż obok nich. Najpierw zobaczyli lufę pistoletu, za nią człowieka w kominiarce.

- Levántate - męski głos zwracał się wprost do niej. Wstała posłusznie, za nią Maciek. Facet wszedł, cały czas celował w nich. Za drzwiami był drugi.

- Vamos - owiniętą w czerń głową pokazał, żeby szli za nim. Ubezpieczał ich ten pierwszy. Agnieszka powtarzała sobie, że gdyby chcieli ich zabić, zrobiliby to w piwnicy.

Weszli do dużego pokoju, usadzili ich na dwóch krzesłach. Pierwszy facet z pistoletem zajął miejsce w fotelu naprzeciwko, drugi i jeszcze jeden stanęli po obu jego stronach. Mówił ten z fotela; uświadomiła sobie, że to właśnie jego zawsze dotąd słyszała. Hiszpańskiego zaczęła uczyć się jeszcze w podstawówce, na tle kibicowania Barcy. W szkole tego języka nie było, ale rodzice posłali ją na prywatne lekcje, zadowoleni, że chce się uczyć czegoś konkretnego. Wybór lektoratu

na UEK był oczywisty, ale ku swemu rozczarowaniu dowiedziała się, że w programie Socrates z jej uczelni nie ma stypendium w Barcelonie. Za to spędziła niezapomniany rok na Universidad Complutense de Madrid, wliczając w to wynajmowanie mieszkania z grupką studentów jakby żywcem wyjętą ze "Smaku życia". Wprawdzie uniwersytetowi nie poświęcała przesadnej uwagi, ale dzięki spotkaniom z przyjaciółmi, imprezowaniu i grze w siatkę wyszlifowała język.

Facet w kominiarce mówił chropawo, brzmienie kojarzyło jej się z tymi żułami, których spotykała w Templo de Depod czy parku Retiro, bo przychodzili spożywać swoje wina w te same miejscówki co studenci.

- Jeśli chcesz być wolny, musisz wykonać dla nas jedno zadanie. Jeśli się nie zgodzisz, albo wycofasz później, zabijemy cię. Jeśli ci się nie uda, zabijemy cię. - Zwracał się do Maćka, więc i ona odruchowo w ten sposób to tłumaczyła. Poczowała się jak niezaangażowany w sprawę pośrednik i zrobiło się jej z tym głupio. Wzięła go za rękę. Lekko ją uściskał i powiedział:

- Spytaj, o co im chodzi.

- Szukamy czegoś, co znajdowało się w "Cafe Eldorado". Byliśmy w tej kamienicy, ale tam już tego nie ma.

- Przecież ta kawiarnia nie istnieje od bardzo dawna - odpowiedziała sama i spontanicznie dodała: - To wy wysadziliście ten kibel w McDonalddie?

W odpowiedzi znowu poleciała dwukrotnie "puta", a zamaskowany odtąd zwracał się wyłącznie do Maćka. Nie był raczej fanem kobiet.

- Pewien człowiek prowadził pamiętnik, który ukrył w "Cafe Eldorado", albo w czymś, co tam się znajdowało.

- Kim był ten człowiek? - Maciek przejął rozmowę.

- Nie twoja sprawa.

- To ważne. Wiedząc jak najwięcej o nim łatwiej odkryć, gdzie mógł to schować.

- Już nie żyje. Nazywał się Juan Pablo Pinilla, przyjechał do Krakowa z Kolumbii przez Madryt. Mieszkał tutaj w latach 80. Miał udziały w kawiarni, doglądał interesu. Wyjechał do Barranquilli, bo został wezwany do rodziny, ale to była pułapka. Zastrzelili go. Pamiętnika przy sobie nie miał.

- Kto go zastrzelił?

- Nie twój interes!

Po wściekłości, z jaką odpowiedziała kominiarka, Aga uznała, że zabójcy byli ich współnikami lub wrogami.

- A jak wyglądał ten pamiętnik?

- Duży notes, o taki - kominiarka nakreślił dłońmi książkę w wydaniu kieszonkowym. Okładka pokryta ciemnozieloną skórą. Czerwona wstążka jako zakładka. Poszukacie go?

- A mamy inne wyjście?

- Przez drzwi, do piwnicy i dalej do ziemi.

Trudno było cokolwiek dodać.

Tamci nie zaniebdywali żadnych środków ostrożności. Znowu skrupowali im ręce z tyłu, założyli na głowę ciemne worki, przewiązali je. Wrzucili na podłogę samochodu, pewnie furgonetki, chyba tego samego, co poprzednio. Wysadzili ich na Obopólnej, obok garaży pod blokiem Maćka, ale wcześniej nawrócili i po przecięciu więzów na rękach, natychmiast odjechali. Tak że kiedy uporali się z zamocowaniem worków i zdjęli je - nie zdołali zobaczyć samochodu, który ich przywiózł. Nie było nadziei na uwolnienie się spod kontroli tak skrupulatnych prześladowców.

VI.

- Przecieram oczy, ale ciągle na wyświetlaczu widzę "Ruda Aga". Co cię sprowadza? Myślałem, że tak jesteś zajęta tym dziennikarzem, że zapomniałaś o dawnych kumplach.
- Słabe to, Fazi. Ja zawsze uważałam cię za kumpla. Nic więcej i nic mniej, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.
- Dobra, sorry, już luzuję majty. Dzwonisz pewnie w jakiejś sprawie?
- No tak, mam prośbę, ale nie na telefon. Może spotkamy się gdzieś na mieście?
- Właśnie loguję się w robocie, do wieczora mam służbę.
- I będziesz za bardzo utyrany, żeby pogadać?
- Nie, chętnie się z tobą zobaczę. Tylko dziwne, że nie będziesz siedziała przed telewizorem. Dzisiaj chyba ze trzy mecze, w tym Francji i Belgii.
- Mam trochę problemów, więc nie jestem na bieżąco. Oglądam Polaków, na więcej nie mam czasu i ochoty.
- Świat już się nie zmienia, tylko rewolucjonizuje. Byłaś najbardziej zakręconą na punkcie futbolu laską, jaką poznałem w życiu. Ale powiem ci, że mnie też Euro przechodzi bokiem. Nawet mecz naszych ze Szwajcarią zbojkotowałem, znaczy narąbałem się i usnąłem.
- Podobno obudziłeś się przytulony do hydrantu
- To hydrant obudził się przytulony do mnie. Cieszę się, że możemy jeszcze gadać po staremu. Przyjdź o dziesiątej do Maca, dobra?
- OK, pa.

Miała mieszane odczucia idąc Szewską, na której w niedzielny wieczór kłębił się tłum nieco mniej gęsty niż przez trzy poprzednie dni. Zdawała sobie sprawę, że wykorzystuje Bartka. Mężczyzn korzystnie odróżniało od kobiet to, że potrafili być lojalni i uczciwi nawet wobec marzeń. W identycznej sytuacji zawiedziona baba nie odebrałaby nawet telefonu. No chyba żeby nawrzucać facetowi. Albo przez pomyłkę, nie rozpoznając jego numeru, który dawno usunęła z kontaktów. Problem w tym, że Fazi był wyraźnie nie w sosie, jakby jej widok poruszył w nim jakieś bolesne struny. Na rogu z Jagiellońską stał żółty garbus, przy nim dziewczyna zanęcała do tego nowego klubu tanecznego, "Cytryny". Adorujący ją Anglicy całkiem składnie śpiewali na trzy głosy "Yellow submarine", Beatlesów. Przechodzący Bartek ryknął na nich nagle: "Trochę kultury, kurwa!". To jeszcze mogła zinterpretować jako kiepski dowcip. Pociągnęła go tylko za łokieć w lewo, przecinając św. Anny i Gołębią doszli do Plant. Tam kobieta prowadziła na smyczy jak pieska wypaszonego kota, podniesionym na sztorc ogonem ocierającego się o ławki. Póki "Fazi" nie skoczył do niego, tupiąc i fukając: "a kysz!". Futrzak zaczął uciekać, wyrwał smycz właścicielce. Ta złorzecząc rzuciła się w pogoń, więc przynajmniej uniknęli awantury.

- Co się z tobą dzieje, zwariowałaś?!
- Nie lubię, gdy ktoś udaje kogoś, kim nie jest.
- Od kiedy to jesteś taki wrażliwy?
- Od kiedy zobaczyłem tego dziennikarza. Jest jakiś śliski. Znasz to hasło rewolty studenckiej z 68 roku: "nie wierz nikomu po trzydziestce".
- Dobra, nagadaliśmy się. Te prognozy jego charakteru i szczerości masz z TV Meteo? Mocno się mylisz, ale ja cię już nie wyprowadzę z błędu - odwróciła się i ruszyła na przystanek.
- Poczekaj, Aga, nie gniewaj się. - Wkurzona, sadziła takimi susami, że dogonił ją dopiero naprzeciwko Filharmonii. - W robocie miałem kijowy dzień, poniosło mnie. No, przepraszam, nie

gniewaj się. Chodźmy nad Wisłę, ochłoniemy, opowiesz, o co ci chodzi. Pewnie ma to związek z tym dziennikarzem?

- On się nie nazywa "ten dziennikarz", tylko Maciek. Język by ci spuchł, gdybyś użył jego imienia?

- Czyli ma to związek z Maćkiem?

- Uhm, pośredni - dała się udobruchać. Wiedza o "Cafe Eldorado" była jej bardzo potrzebna. -

Chodzi o twojego tatę; mówiłeś, że pracował w tej kawiarni, która znajdowała się w miejscu Maca i banku.

- To było wieki temu. Nie wiem, czy byłem już na świecie, kiedy ją zamknęli.

- A sądzisz, że coś jeszcze pamięta i zechce o tym powiedzieć?

- To na pewno, uwielbia wspomnienia, tylko ja jestem niewdzięcznym słuchaczem. Czemu to cię tak interesuje?

- Prosiłabym, żebyś na razie o to nie pytał. Wytlumaczę ci wszystko za miesiąc-dwa.

- Będę miał niezłe rozkminy. Co chcesz wiedzieć od mojego staruszka?

- Co się da o człowieku, który nazywał się Juan Pablo Pinilla, przyjechał tam z Kolumbii i jakiś czas pracował. Z czym albo z kim był szczególnie związany. Gdyby miał coś ukryć, coś niedużego, gdzie by to umieścił?

- Czy my nie występujemy w przygodowym reality show? Nie zgłaszałem udziału. A właśnie - zapomniałem ci zakomunikować, że jutro będę statystą w programie kryminalnym.

- Elegancko. Opowiesz mi, jak było - zlekceważyła go. - I jeszcze jedna sprawa: co się stało z wyposażeniem kawiarni, kiedy ją likwidowali. Mogę na ciebie liczyć?

- Jak zawsze... Wybadam tatuńcia i się odezwę. Zdzwonimy się jutro, najpóźniej pojutrze.

Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęło kropić. Przeszli całą Zwierzyniecką, bezwiednie dwukrotnie skręcili w lewo i schodzili na bulwar, gdzie dawniej naprzeciwko Wawelu mieściła się miejska plaża. Na fanpejdzu ze starymi zdjęciami Krakowa widziała, ilu ludzi tu się opalało, kąpało. Teraz na trawniczku leżał tylko jakiś menel. Akurat gdy się zbliżali, zaczął się tam gramolić i pojękiwać.

- Zobaczmy, co mu jest - odkąd wpadła w tę spiralę strachu i przemocy z większą empatią odnosiła się do słabości innych.

- Daj spokój, przecież to pijak. Nie pierwszy raz słuchał, co w trawie piszczy, a teraz deszcz go obudził.

- Jeszcze dostanie zapalenia płuc.

- Coś ty, za ciepło jest. Przetrzeźwieje i pójdzie dalej chlać. Tacy goście nie chorują, wóda ich konserwuje.

Podeszli jednak do niego. Agnieszka pochyliła się, w jej nozdrza uderzył odór przetrawionego alkoholu.

- Proszę pana, jak się pan czuje?

Z ziemi odpowiedziało jej rozdzierające: "poomóż-cie mi". Podciągnęli go do pozycji siedzącej, a on trząśł się, trzymając za kolana. "Po-go-to-wie" - usłyszeli.

- Proszę pana, ale co panu jest? - spytała niezbyt mądrze. A niech tam, zadzwoniła na "986". Po uprzykrzonej sekwencji przełączania i trzykrotnego opowiadania, o co chodzi, ratownik medyczny zaczął jej zadawać szczegółowe pytania, na które umiała tylko odpowiedzieć, że gość jest przytomny.

- A może by pani jeszcze raz spróbowała z nim porozmawiać i postarała się określić dolegliwości? I wystawić diagnozę? - pomyślała, a głośno odparła: - Z chęcią, ale on głównie szczęka zębami, powiedział dotąd dwa słowa.

Gdy już dotarli pijaczka na ławkę (nogi miał jak z waty, za to był zaskakująco ciężki), doczekali się na karetkę, zegnając się z Fazim przy Moście Grunwaldzkim i wsiadając do autobusu w kierunku Bronowic - zastanawiała się, czy te wszystkie absurdalne sytuacje, jakie się jej przydarzają, układają się w jakiś logiczny ciąg, czy są zupełnie przypadkowe.

VII.

Jeśli Bartek chciał, aby pierwszy raz czekała z niecierpliwością na jego telefon, to swój cel osiągnął. A jeśli marzyło mu się, aby zadzwoniła pierwsza, to też mu się udało, bo po całym dniu oczekiwania - następnego przejęła inicjatywę.

- Sorczak, Aga, zbierałem się, żeby do ciebie zadzwonić - pośpiesznie odezwał się, odbierając.
- Od wczoraj usycham z tęsknoty...

- Wczoraj byłem statystą w tym programie. Robiłem za odkopywanego z ziemi trupa, zabitego przez psychopatycznego mordercę. Dobrze grałem, brzuch mi się w ogóle nie ruszał.
Agnieszka wybuchnęła śmiechem.

- Dostałeś Oscara za tak kunsztowne wstrzymywanie oddechu?

- Jagiełłę na banknocie.

- Maławo.

- Zawsze to o sto złotych mniej do mojego pierwszego miliona. Kiedy wróciłem po spotkaniu z tobą, staruszek już kimał, przepytalem go dopiero wczoraj wieczorem, dzisiaj jeszcze sprawdzał jedną rzecz. No i tak mi zeszło. Zresztą nie spieszyłem się, bo tu nie ma żadnych sensacji. Coraz mniej rozumiem, dlaczego tak ci na tym zależy.

- Nie ma sensacji mówisz? - trudno jej było nie okazać rozczarowania.

- Spodziewałem się jakiejś petardy, taki nastrój tajemniczości roztoczyłaś. Poczekaj, znajdę tę kartkę, bo nawet notowałem jak przykładowy student. O jest. Juan Pablo Pinilla, tak jak mówiłaś - tata pamięta jego nazwisko, bo takie dźwięczne było, jak się wyraził. Przyjechał z Kolumbii, mieszkał tu przez parę lat, ale dokładnych dat tata nie pamięta.

- Z Baranquilli?

- Tego nie wie. Nawet spytałem, bo wiesz, jak się słyszy Kolumbia, to od razu zapala się lampka "kartele" i "Medellin". Bardzo miły człowiek, choć cichy, jakby żyjący w swoim świecie. Nieduży, bardzo schludny, od szpakowatego wąsika, po ubranie. Nosił taki staromodny surdut.

- Czym się właściwie zajmował?

- Nie da się określić. Doglądał interesu. Nie był szefem niczego, nawet kierownikiem zmiany, zwłaszcza że słabo znał polski. Ale miał formalne stanowisko dyrektora do spraw handlowych i to co do kawiarni było sprowadzane z Hiszpanii, czy Kolumbii, to on zamawiał. Chodził to tu, to tam, uśmiechał się, pozdrawiał, czasem coś pomógł. Tata był księgowym, udostępniał mu sprawozdania, które ten zabierał na dzień-dwa do domu, ale nie prosił nigdy o żadne wyjaśnienia, nie komentował. Wynajmował mieszkanie przy Szpitalnej. Jego pasją była kawa.

- To tak jak ze mną.

- Ty ją po prostu pijesz w nadmiarze, a on robił. Albo raczej - tworzył. Miał taką manię, że wszystkich pracowników uczył, jak najlepiej obsługiwać ekspres. Tak z każdym świeżo zatrudnionym, nawet do sprzątnięcia, czy biura. Miał takie powiedzenie, że ekspres jest sercem, do którego trzeba wlać gorące uczucie i wrzącą wodę.

- Mówiłaś, że to firma polonijna, więc jak współwłaścicielem mógł być Kolumbijczyk?

- Firmy polonijne polegały na tym, że jakiś biznes z krajów kapitalistycznych, prowadzony przez

Polonusa mógł sobie założyć u nas przedstawicielstwo. I tak było - formalnie właścicielami byli Polacy przebywający na stałe w Hiszpanii, ale mieli cichych udziałowców z Kolumbii, skądś jeszcze, ponoć nawet z Izraela. Ten Juan Pablo też był cichym udziałowcem, więc formalnie musiał uchodzić za pracownika. No jak, co jeszcze chciałabyś wiedzieć? Nad czym tak dumasz?

Aga wyłączyła się po haśle "Izrael". Przypomniała sobie opowieść Szymona o pokerze z Jozką Steinerem i skarbie. Wszystko się zgadza!

- Przepraszam. A wiadomo, co z tym sprzętem?

- Tata całkiem nieźle się orientował, może przechowuje jakieś szpargały z tamtej roboty. Nie wnikałem. Sprzęt został zlicytowany. Sporo wzięli do "Żaczka" - część do stołówki, część do tego klubu od strony Muzeum Narodowego. Kontuar i urządzenia do robienia oraz przechowywania lodów kupiła nowopowstająca cukiernia, gdzieś na Krowodrzy, bodaj "Magnolia". No i parę rzeczy, przede wszystkim ten ekspres kupił antykwariat, czy też sklep z zabytkowymi przedmiotami, który do dzisiaj funkcjonuje przy Długiej. Tata nie zna dokładnego adresu, ale łatwo go znaleźć, bo ma charakterystyczną nazwę: "Starocie, ale urocze".

VIII.

Przyszły trzydziestoparostopniowe upały. Ludzie w tramwaju mieli czerwone placki na ramionach i karkach. Wróciły histerie smogowe, monopolizujące rozmowy między pasażerami. Na ulicach w centrum powietrze śmierdziało palonymi oponami. Inaczej niż w zimie, kiedy zapach smogu jest metaliczny, a smak czuć nawet w ustach i na języku.

- To dziwne miasto, ubogich-zamożnych ludzi. Mają odziedziczone mieszkania w kamienicach, warte grube setki tysięcy, czasem i miliony. A jednocześnie muszą utrzymywać się z peerelowskich emerytur, rent, czasem tylko z jednej. Miewają kłopoty z kupnem tego osławionego węgla, a tu się od nich wymaga, żeby zmienili ogrzewanie na gaz i płacili jeszcze wyższe rachunki. - Maciek trzymał dłoń na jej plecach. Od tamtego porwania ciągle dotykał jej włosów, ramienia, policzka. Delikatnie, pieśczośliwie, czasami chyba bezwiednie.

Przesunęli się bliżej drzwi, mieli wysiadać przy wylocie Długiej na Basztową. Tutaj dialog dotyczył zaginięć dziewczyn.

- Słyszałam, że policja domyśla się kto to, ale nie ma dowodów potrzebnych, żeby go skazać - mówiła kobieta w średnim wieku, wachlująca się złożonym "Kurierem Krakowskim".

- Przyskrzynić go mogą nawet za coś drobnego. Niech dostanie tylko dwa miesiące, w pierdlu nie przeżyje tygodnia. Co Temida schrzani, grypsierka poprawi - słowa siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny nawet nie brzmiały cynicznie, tylko beznamiętnie. Wyglądał, jakby realia, o których opowiadał, znał z autopsji.

Nie dało się nie pomyśleć o ich własnych bandytach, którzy na szczęście nie pokazywali się. Agnieszka relacjonowała im postępy sms-ami. Czowała jednak ich obecność. Marzyła, żeby jutro jedynym zmartwieniem pozostał mecz Polaków z Portugalią, ale nie mijało dręczące przeczucie, że ich szanse są mniejsze, niż naszych piłkarzy na awans do półfinału.

Na Długiej ktoś źle zaparkował, tramwaj nie mógł przejechać, blokując sznur samochodów. Na pasach stała wielka toyota, w której kobieta lewą ręką dzierżyła kierownicę, prawą papierosa, a nawijała do telefonu leżącego na obfitym, spoconym biuście. Agnieszka trąciła Maćka łokciem i już do samego sklepu chichrali się z tego pomysłowego zestawu głośnomówiącego. Siniaki powoli bladły na jego twarzy, na czole goiła się rana, która na szczęście była tak płytka, że nie wymagała szycia.

Dzisiaj od rana sprawdzali informacje przyniesione przez Faziego. Maciek poszedł do Żaczka, gdzie w spółdzielni studenckiej działał ciągle jego kolega ze studiów. Ona szukała "Magnolii: najpierw w necie, a później, gdy już znalazła starą wzmiankę o cukierni - ruszyła na Wrocławską. Pod tamtym numerem był jednak sieciowy sklep spożywczy. Popytała w środku, ekspedientka nic nie wiedziała, ale jedna z klientek przypomniała sobie, że "Magnolia" splajtowała jakieś dziesięć lat temu. O wyposażeniu ani słychu, ani widu, zresztą wtedy musiało być już mocno zużyte. Co się komponowało z wieściami przyniesionymi z "Żaczka", gdzie wymienili sprzęt z "Cafe Eldorado" kilkanaście lat temu. Poszedł na śmietnik.

Pozostał antykwariusz, do którego właśnie zmierzali. Aga pocieszała Maćka, że przecież w krzeselku czy stoliku nikt nie ukrywałby notesu. Jej faworytem był ekspres, do którego tak przywiązany był Pinilla.

Zabrzęczał dzwoneczek nad drzwiami; starszy, wytworny facet w apaszcze i z chusteczką w kieszonce marynarki powiedział im jako pierwszy "dzień dobry". To pewnie sprzedawca. W sklepie było dwoje interesantów, nie chcieli rozmawiać o sprawie przy świadkach, więc zaczęli oprowadzać się po ekspozycji ładnych, a nierzadko misternych przedmiotów. Zapatrzyła się w połączone zdobienia ramy lustra, potem w samo lustro. Dużo bardziej lubiła swój wygląd od półtora miesiąca. Wygładziła kremową bluzkę, złożoną w całości z koronkowych kwiatów. Nałożyła ją na biały top, inaczej paradowałaby półnago.

- Słucham państwa, czym mogę służyć? - spytał tamten elegant, gdy dzwonek zabrzmiał powtórnie, żegnając wychodzących.

- Słyszeliśmy, że miał pan zabytkowe wyposażenie "Cafe Eldorado", która mieściła się na rogu Szewskiej i Rynku? - zagał Maciej.

- To prawda, ale to było jeszcze w czasie, kiedy na Rynku rosły rozłożyste drzewa. Sprzedałem tamte rzeczy zanim je wycięli. Proszę poczekać, mam tu na zapleczu książki. Zerknę.

Przyniósł gruby zeszyt formatu A3, oprawiony w papier jak do pakowania prezentów. Gdy go kartkował, okazało się, że wypełniany był ołówkiem - litery i cyfry nieco wyblakły, ale ciągle były czytelne.

- Mam - przyłożył palec na górze jednej ze stron. - Odkupiłem od nich ekspres do kawy, czajnik i porcelanową zastawę. Wszystko pochodziło chyba z Wiednia, zastawa i czajnik w stylu secesyjnym, kupili je zagraniczni turyści. Za to ekspres został w Krakowie, u pewnego małżeństwa. Przypominam ich sobie, to ta pani zachwyciła się ekspresem, a pan ewidentnie spełniał wszystkie jej kaprysy.

- Ma pan może adres tych ludzi? Można by go dostać?

- Z całym szacunkiem, bez urazy, ale ja tu prowadzę biznes, a nie nieodpłatną informację handlową. Poza tym mamy ochronę danych osobowych.

- Nie, mamy tylko ustawę o ochronie danych, to nie to samo... Zresztą nie obowiązywała, gdy pan prowadził tamtą transakcję. Może zgodzi się pan na prowizję, za pośrednictwo w transakcji, do której być może dojdzie? Wystarczy, że pan skontaktuje strony przez podanie adresu. - Nie znała Maćka z tej strony. Nawijał jak cwaniak z bazaru przy Grzegórzeckiej, tyle że bardziej oglądony, posługujący się wyszukany słownictwem.

- Ten ekspres był dość drogi, a taka prowizja może sięgnąć nawet dziesięciu procent...

- Obawiam się, że aż tyle ta informacja nie jest dla mnie warta. Za to mogę zaoferować panu dwieście złotych, płatne gotówką, bez pokwitowania.

Facet nie odpowiedział. Wyjął z kieszonki prawdziwe atramentowe pióro, spod lady wyciągnął żółty bloczek do notatek, patrząc do zeszytu spisał dane i wierzchnią karteczkę podał Maćkowi.

- Napisałem też numer telefonu, który zostawili mi na wypadek, gdyby pojawiło się coś ciekawego. Numery w międzyczasie zmieniły się, ale tu chyba doszła tylko czwórka na przodzie. Prowadzenie interesów z państwem było niekłamaną przyjemnością.

Odprowadził ich do drzwi, które przed nimi otworzył. Aga powstrzymała się, żeby nie prychnąć na niego ze złością.

IX.

Dobrze, że wczoraj zarezerwowały stolik telefonicznie, bo już teraz, na niemal godzinę przed meczem, nie było szans na miejsce. Choć to niby dzień powszedni, podobnie jak jutro. Justyna Maj zaprosiła je do tego drogiego pubu przy Rynku, twierdząc, że poza medalem Euro chce z nimi świętować firmowy sukces. Pracowała w studiu graficznym, które dostało właśnie duży kontrakt. Miała błyskotliwe, momentami abstrakcyjne, poczucie humoru, była fanką piłki (poznały się podczas któregoś El Clasico) i twittera (Aga sama nie miała konta, ale śledziła jej wpisy, płacząc przy niektórych ze śmiechu).

Przyszła też Bożka, a nawet Becia, lustrująca kibiców przy sąsiednich stolikach. Ile razy przyjaciółka wybierała się z nią na mecz, Agnieszce przypominało się, jak kiedyś siedziała sama w knajpie na Lidze Mistrzów, a starszy facet spytał ją zgryźliwie: "A pani tu co, męża szuka?".

- Dobra bania za każdy blok Pazdana na Kryśce. Obawiam się, że znów karne będą, ale jakoś nie widzę tego zakończenia - utyskiwała pół żartem, pół serio "Majka", pociągając przez słomkę piwo z sokiem malinowym. - Zrobiłam nawet rano eksperyment i dałam mojemu kotu whiskasa w miseczce, przy której postawiłam karteczkę "Poland", a w drugiej - rzodkiewkę i karteczkę "Portugal".

- Czemu po angielsku?

- Bo on raczej nie rozumie po polsku. W ogóle mnie nie słucha.

- A teraz posłuchał?

- Nie, nic nie wybrał. Za to przemówił. Powiedział: "Lecz się, kretynko" i mnie podrapał.

Docinek Bożeny ("A ty byś jadła tego whiskasa?") zginął w wybuchu śmiechu. Do Agnieszki wracał on jeszcze falami, gdy na Stade Velodrome w Marsylii cała reprezentacja, obejmując się za ramiona, śpiewała "Mazurka Dąbrowskiego".